



Nr. 37.

11-go Września

1913.

Powrót Nieboszczyka.

Kiedy Jan Blows przyszedł do domu i powiedział żonie, że znowu stracił miejsce, pani Blows najprzód wybuchnęła głośnym płaczem, w którym niezwłocznie zawtórowały jej dzieci, a następnie obsypała go gradem najstraszniejszych wymysłów i wyrzutów.

Blows oburzony zupełnym brakiem sympatii ze strony swojej połowicy i potomstwa, cisnął na ziemię garść drobnej monety i wyszedł z domu, zapowiadając, że więcej tu nie wróci. A możeby istotnie spróbować szczęścia gdzieindziej? w rodzinnem miasteczku jakoś mu się nie wiodło. Dla lepszego namysłu usiadł w chłodku nad rzeką wypaliwszy fajkę, zdrzemnął się, co w każdym razie stanowi dowód czystego sumienia.

Zbudził go przeraźliwy okrzyk. Blows nagle zerwał się i zobaczywszy w pobliżu tonącego chłopca, Billa Clements, więc wszedł w wodę niezbyt głęboką w tem miejscu... i wyciągnął go. Chłopak nawet mu nie podziękował i z płaczem pobiegł do domu.

Blows spostrzegł, że czapka jego popłynęła z prądem, ale machnął tylko ręką na tę stratę i wędług swego poprzedniego zamiaru poszedł w świat.

Trzy miesiące zeszło mu na włóczęgę, przerwaną czasem pracą; po upływie tego czasu Blows postanowił wspaniałomyślnie przebaczyć żonie i wrócić do domu. Był już tylko o pół mil od miasteczka, kiedy zobaczył przed sobą wóz naładowany słomą, a na nim znajomego mieszczanina, Cartera, kiwającego się we śnie.

— Zrobię mu niespodziankę — rzekł do siebie Blows i wdrapawszy się na wóz z tyłu położył się na słomie.

— Jak się masz, Joe? — rzekł.

Mieszczanin otworzył jedno oko, ale nie widząc nikogo, wyobraził sobie, że mu się przyśniło.

— Ja patrzę na ciebie, Joe — żartobliwie powiedział Blows.

Carter otworzył oba oczy i odwróciwszy się, ujrzał przy świetle księżyca wyglądającą z ponad słomy twarz Blowsa, szczerzącego zęb. Z okrzy-

kiem przestachu zeskoczył na ziemię i zaczął uciekać.

— Co jemu się stało? — mruknął zdumiony, Blows — zmyka jak zając.

Na szczęście stara szkapą nie była płochliwa i wlokła się dalej. Blows był bardzo rad z furmanki i zsiadł dopiero koło cmentarza, położonego niedaleko domu Cartera. Jakiś człowiek spotkał go koło muru cmentarnego, wzniosłszy ręce do góry, skoczył na bok ze zwinnością akrobata i z przeraźliwym wrzaskiem zaczął uciekać gdzie oczy poniosą.

— Poszaleli, czy co? — mruknął oburzony Blows.

Dochodząc do swego domu, zwolnił kroku. Ozwały się w nim wyrzuty sumienia, a przytem zaczął zastanawiać się poraz pierwszy, z czego żona i dzieci żyły podczas jego nieobecności.

Zajrzał do kuchni i zobaczył żonę, szyjącą przy lampie. Była ubrana czarno i wyglądała dobrze. Na odgłos kroków podniosła głowę i padła jak długa na ziemię. Widząc, że zemdlona, mąż porwał dzbanek wody i chlusnął jej w twarz. Tem środkiem okazał się skuteczny: podniosła się i z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Ach! mój drogi — rzekła — myślałam, żeś umarł: pochowaliśmy cię miesiąc temu.

— Pochowaliście mnie! — zdumiał się Blows.

— To pewno sen — mówiła pani Blows — już kilka razy śniło mi się, że nie umarłeś.

Obejrzawszy się po izbie, Blows zobaczył beczułkę piwa i nalał sobie szklankę.

— Doskonałe piwo — rzekł, kosztując — nie żałowałaś sobie podczas mojej nieobecności.

— To z twego pogrzebu — odjaśniła żona — przywieźli dwie beczułki, ale nawet jednej całej nie wypili.

Blows postawił na stole szklankę; piwo przestało mu smakować.

— Pij — zachęcała go żona — masz największe prawo do niego.

— Ale jakim sposobem mogliście mnie pochować bezemnie? — dopytywał się Blows.

— Widocznie to była pomyłka. Ale jaki miał pogrzeb. Jasiu, szkoda, żeś go nie widział! Pra-

wie całe miasto szło za trumną, orkiestra amatorska grała marsza żałobnego, bractwo Wielbłądów, do którego przedtem należałeś, wystąpiło z chorągwiami, cała trumna była pokryta kwiatami, a jeden wieniec kosztował aż dwadzieścia marek.

Blows zarumienił się z radości i dumy; ani nawet przypuszczał, że współobywatele tak wysoko go cenili.

— Niepotrzebnie zmarnowało się tyle pieniędzy — mruknał.

— To nie moja wina — usprawiedliwiała się żona — tego dnia coś wyszedł z domu, mały Bill przybiegł do domu cały mokry i powiedział, żeś wyciągnął go z wody. Ponieważ nie wróciłeś ani tego dnia, ani następnego, wszyscy myśleli, żeś utopił; szukali w rzece i znaleźli tylko czapkę. Dopiero miesiąc temu wyłowili jakiegoś topielca, tak samo ubranego, jak ty. Byłam pewna, że to ty, chociaż twarzy nie mogłam poznać. Przypuszczano, żeś zginął, ratując Billa i dla tego wyprawili ci taki suty pogrzeb. Proboszcz miał wspaniałe kazanie, szkoda, żeś go nie słyszał! Mówił, że nigdy nie spodziewał się po tobie takiego pięknego czynu co dowodzi, że ludzi nie należy sądzić z pozorów. Myślę, że teraz będę musiała oddać pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Które dla nas zebrano: trzy tysiące marek.

— Gdzie one są? — zapytał Blows, drżąc z radości.

— Nie mam ich. Umieszczone są w kasie bractwa Wielbłądów, które płaci mi tygodniowo dziesięć marek.

— Ani się waż oddawać grosza! — krzyknął Blows — idź do komitetu bractwa i poproś o kapitał, gdyż chcesz wyjechać do Australii. Wyślij dzieciaki do matki, a ja będę siedział na górze. Dwóch ludzi tylko mnie widziało, a i ci wyobrażają sobie, że to mój duch.

Blows trafnie odgadł. Całe miasteczko poruszone było tą nadzwyczajną nowiną.

— Psie figle jeszcze po śmierci się go trzymają — odpowiedział zgorszony Carter — wysunął łeb z ponad słomy i powiedział: „Ja patrzę na ciebie, Joe“.

— Trzeba go było wysłuchać — rzekł surowo jeden z sąsiadów — może chciał coś powiedzieć: byłby już dał wam pokój.

— Może chciał was ostrzedz, że śmierć się zbliża — dorzucił ktoś trzeci — na wszelki wypadek jabym wam radził trochę się przygotować: to nigdy nie zaszkodzi.

W bractwie Wielbłądów nikt nie uwierzył w to, żeby Blows wałęsał się po śmierci, a na prośbę pani Blows o wydanie kapitału, zdziwiono się, że chce opuścić grób bohatera i przyznano jej o jedną markę więcej tygodniowo. Blows ze złością cisnął pieniądze o ziemię, ale ponieważ przykrzyło mu się siedzieć ciągle w domu, w nocy wymknął się na przechadzkę. Spotkał tylko konstabla, który rozchorował się z przestachu.

W miasteczku nikt już nie wątpił, że Blows „przeszkadza“. Bractwo Wielbłądów, przypuszczając, że nieboszczyk jest niezadowolony z zamówionej dla niego kamiennej tablicy, uchwaliło wystawić mu pomnik z różowego marmuru.

Blows, dowiedziawszy się o tem, o mało nie wściekł się ze złości i na pociechę wypił resztę piwa z beczulki. To mu rozjaśniło w głowie: postanowił sam pójść do bractwa i zażądać kapitału;

z babą nie chcieli gadać, ale jego przecież wysłuchają.

Ukazanie się jego na ulicy wywołało ogólny popłoch: bojaźliwi zmykali z okrzykiem, odważniejsi przyglądali mu się z daleka i w końcu doszli do przekonania, że to nie był duch, lecz żywy człowiek. Najwięcej uszczęśliwiony z tego odkrycia był Carter i on pierwszy uściśnął rękę mniemanego nieboszczyka. Otoczony gromadą ludzi, Blows wkroczył na posiedzenie bractwa Wielbłądów, gdzie z początku zrobił piorunujące wrażenie.

— Przyszedłem po moje pieniądze — rzekł ostro. — Trzy tysiące marek, nie chcę żadnego nagrobka... Aj! Aj! co robicie!

Ten okrzyk został wywołany ruchem prezydenta, który za pomocą parasola chciał się przekonać, czy przed nim stoi duch Blowsa, czy też on sam w cielesnej swojej powłoce. Sprawdziwszy, że to nie jest duch, ochłonął z przestachu i rzekł uroczyście:

— Bardzo mi przykro, że nastąpiła pomyłka, z drugiej jednak strony cieszę się, że pan Blows znartychwstał i będzie mógł z własnej pracy utrzymać żonę i dzieci. Zebrane pieniądze odda się napowrót tym, którzy je złożyli.

Zanim Blows zdążył wyrazić swoje oburzenie, dwóch członków wyprowadziło go z sali; za nim podążył tłum rozweselony tem nadzwyczajnym zdarzeniem.



OBIECUJACY MALEC.

Cioccia: Janku, kto to był Kolumb?

Janek: A kura, proszę cioci.

Cioccia: Co znowu, dlaczego?

Janek: Bo niósł jaja!

Cioccia: Dla Boga, co płaciesz, kto ci to powiedział?

Janek: A bo tu w elementarzu stoi napisane: „jaje Kolumba wprowało w zadumienie wszystkich“.

Cioccia: Ej, ty ośle, gdyby był kurą, toby przecież nikogo nie zdziwił, że zniósł jaje...

Janek: Teraz już wiem; zdziwili się, że zniósł jaje, bo był kogutem!



ZA DALEKO.

Bankier Goldmacher targuje się o konia

— A czy ten koń dobrze chodzi?

— Doskonale! Dwadzieścia mil jedzie bez odpoczynku.

— To ja go nie kupię. Ja mieszkam pięć mil za miastem, to onby mnie zaniósł za daleko.



KTO ZAROBİ?

— A jak wam się zdaje, czy Rumunia zarobi co na tej kłótni słowiańskiej?

— Czy wy nie wiecie, kto jest królem rumuńskim?

— Dlaczego ja nie mam wiedzieć? Królem rumuńskim jest Niemiec.

— No, to po co to wasze głupie pytanie?!



PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Kto z zasady wręcz kłamie,
Ze zawsze szczęśliwy?
...Myśliwy,

Kto może być aniołem,
Lub z piekielnie groua?
...Żona.

Kto rozkoszą jest w życiu,
Albo troski nieci?
...Dzieci.

Kto z biednych zdziera skórę,
A jaśnieć chce jak świecznik?
...Kamienicznik.

Kto w małżeńskim raju?
Nietęgi ogrodnik?
...Rozwodnik.

Kto prawdą żyć nie może,
Gdy ust nie otworzy?
...Faktorzy.

Kto wytwarza w żołądkach
Największe ruiny?
...Restauracye.

Kto w mieście od wydatków
Sobie procent strąca?
...Służąca.

Kto każdego rad żenić,
Choćby w czoła podie?
...Ciocie.

Kto jedynie przez język
Tylko się bogaci?
...Adwokaci.

Kto nieraz się nadarzy
Jakby dziura w moście?
...Goście.

Kto z daleka już mija,
Gdy groszy niewiele?
...Przyjaciele

—★—

GUSTOWNY ZWROT.

Pewien mało bywały, nieśmiały młodzieniec znajdując się podczas balu w ambarasie o stosowny temat rozmowy. Wreszcie zaczyna:
— Odejski mnie bolą; panią też?...

—★—

ZAŁETA.

Lokator: Mieszkanie ładne, nie ma co mówić, ale podobno ma wielką wadę, tj. wilgoć!
Gospodarz: Ależ panie! to nie żadna wada, tylko zaleta, bo np. w razie ognia nie tak prędko się pali!.....

—★—

RZETELNY WSPÓŁPRACOWNIK.

— Aj waj, Mojsze, tyś mnie oszukał. my przecheż zysk i stratę mieliszmy podzelić na równo.
— Ny, czy ty tak poczebujesz mówicz, Leosz. Ja mam zysk, a ty stratę. Czy to nie podzielone?

—★—



PRZYJACIELSKIE NARADY.

Francuz: Tamten zuchwalec tyle pali tytoniu, że aż głowa boli... Wogóle kłopotu nam narobił ze zbrojeniem...

Rosyanin: Trzymajmy się razem -- a nic nam nie zrobi.

Anglik: Nietylko nie robi niczego, ale my go nauczymy rozumu... Już i Austryak się na niego boczy... Ale on myśli, że wszystkich pokona... Bardzo się myli...

— Czy nie jest smutno, gdy pomyślisz o tem, jak mało jest panien, które chciałybyś poślubić?

— Ale jeszcze smutniej się robi, gdy pomyślisz o tem jak olbrzymio wiele jest takich, które... ciebie nie chcą!

—★—

Mąż: Najdroższa moja, ja chciałem...

Żona: Słuchaj Adolfie, jeżeli coś przełożysz łagodnie, to dobrze, ale ja się sprzeciwiam, abyś narzucał swoją wolę mnie, plci... słabej, zwłaszcza, iż obiecywałeś, że zawsze będziesz moją... podporą.

—★—

— Pożycz mi 5 marek a na pewno oddam ci w poniedziałek, bo w tym dniu dostanę pieniądze.

— Kiedy ja także będę miał pieniądze dopiero w poniedziałek.

— No. to dobrze. to ja się zgłoszę po te 5 marek w poniedziałek.

MĄDRE KRUKI.

Gdy się razu pewnego zeszli znajomi Urbana, wtedy zaczął im opowiadać następującą historią, za którą zaręczał, że jest prawdziwą, gdyż sam widział one czarne kruki na własne oczy.

Że kruki są złodziejami pierwszej próby, — są jego słowa, — tego wam pewnie gadać nie potrzeba, i że przedewszystkiem uganiają się za złotem i srebrem, o tem wiecie tak samo, jak ja.

Siedzę sobie pewnego dnia w boru na starym pniu i spozieram na wszystkie strony i słucham, jakto u nas myśliwych jest w zwyczaju, czy się czasem jaka zdobycz nie nawinie. Wtem widzę, że nadlatuje młody jeszcze kruk i trzyma w dziobie świecący jakiś przedmiot. Już chciałem dubeltówkę na niego wymierzyć, gdy spostrzegłem, że się spuszcza tuż przy mnie, w oddaleniu może około 30 kroków, na kawał gołej skały, a równocześnie ujrzałem goniącego go starego kruka. Zaczekałem tedy i na tego, bo wołałem zabić dwa od razu i dwukrotnie otrzymać strzałowe.

Skradziony przedmiot leżał teraz obok młodego kruka na skale i mogłem dokładnie rozpoznać, że to była ciężka srebrna łyżka. Już z daleka powitał stary szczęśliwego młodego złodzieja głośnem, radosnem krakaniem, wyrażającym radość z tak rzadkiej zdobyczy (bo my myśliwi rozumiemy niemal zupełnie mowę zwierząt, a młody kruk, dumny ze swego czynu, z butą się wyprostował).

Teraz oba kruki siedziały przy sobie; młody tryumfując wydawał krakanie, podczas gdy stary dziwnie był milczący. Długo obracał i oglądał ze wszystkich stron łyżkę, aż wreszcie długim swoim dziobem pochwycił młodego złodzieja, szarpał go w największym gniewie i dziobem uderzał. Młody krzyczał z bólu, stary krakał gniewnie, wyrwane pióra wypadły, a nawet kilka kropli krwi zarumieniło ziemię.

Już chciałem celnym strzałem temu pastwieniu się położyć koniec, gdy zauważyłem, jak zwabiona prawdopodobnie straszliwym krzykiem obydwóch, reszta kraków zleciała się z lasu. Z współczuciem obstały poturbowanego i już mi się zdawało, że się zabierały do pomsty nad starym, gdy im tenże, jakto zaraz z jego ruchów poznałem, zdawał się tłumaczyć, o co chodziło. Jeden po drugim zbliżał się tedy do łyżki i z wszystkich stron ją oglądał, poczem z wściekłością rzucał się na biednego złodzieja, który ostatecznie spadł bez życia z głazu.

Jednym mistrzowskim strzałem ubiłem cały tłum jego morderców i niemało teraz byłem ciekawy, co właściwie całego tego zająścia było powodem. Że złodziej bardzo musiał przewinąć, o tem byłem przekonany.

Zbliżyłem się, przyjrzałem się łyżce i natychmiast wszystko mi się wyjaśniło. Stary na widok srebrnej łyżki, bił młodego z gniewu, że siebie i jego oszukał, bo na drugiej stronie łyżki wyraźny był stępel fabryczny: Alfenida — wiec łyżka nie była ze srebra!

Młodego kruka, który jeszcze oddychał, zabrałem ze sobą do domu i wnet przyszedł do siebie. Jeżeli nie wierzyć, mogę wam na przekonanie pokazać i kruka i tę łyżkę, którą tenże ukradł.

SPRYTNY ŻEBRAK.

— Proszę pana o jaką jałmużnę, mam sześćoro dzieci....

— Ja nie nie daję!

— ...Mam także tęściową!

— Tu macie dziecięć fenygów.

—★—

POSTĘPOWY.

— Bój się Boga, Bolesiu, masz dopiero lat trzy naście, a już palisz papierosy. Co będziesz robił, gdy będziesz starszy?

— Będę palił cygara, proszę pana.

—★—

WYJAŚNIENIE.

— Podpadło mi, że wasze chłopaki takie duże uszy mają, kumoszko, choć przecież każdy od innego ojca.

— A no widzicie, kumoszko, uczyli się dyć u tego samego majstra szewiectwa.

—★—

NAGROBEK.

Tutaj austriacka leży dyplomacya,
Postawić jej pomnik była wszelka racya,
Niedoleństwem podziw budząc całe lato,
Niech ma odznaczenie — zasłużyła na to.

—★—

WYGODNE BUTY.

Mojego szewca jestem bardzo zadowolonym.
Robi mi buty tak wygodne, że zapominam je założyć

—★—

NIE WIE PRZYCZYNY.



Doprawdy nie wiem, czym dlatego taki leniwy, że taki otyły, czy też dlatego takim otyły, że taki leniwy?